



Edgar Allan Poe

Hop-frog





Edgar Allan Poe

Hop-frog

Edgar Allan Poe

Hop-frog

Publikacja zrealizowana w ramach projektu WolneLektury.pl



Hop-frog[1]

Nigdy nie znałem nikogo, kto by miał większy zapał i popęd do żartów niż ów dzielny król. Najpewniejszą drogą do zdobycia jego łaski było wygłoszenie przedniej dykteryjki o błazeńskim pokroju i wygłoszenie umiejętnie. Dla tej właśnie przyczyny siedmiu jego ministrów wyróżniało się krotochwilnym[2] usposobieniem. Wszyscy byli ukształtowani wedle królewskiego pierwowzoru — rozumiej: przestronną tuszę, dostatnie otłuszczenie i nieporównaną do błazeństwa zaprawność[3]. Czy krotofilność tuczy, czy też przeciwnie — tłuszczuk zawiera w sobie jakowąś krotochwilności pochopność — jest to kwestia sporna, której nigdy nie mogłem rozstrzygnąć raz na zawsze, atoli pewnik to nieprzeparty, iż dowcipnemu chudziakowi przynależy się miano *rara avis in terris*[4].

O wszelakie odcienie lub *chuchnięcia* umysłu, jak je sam przezywał, król dbał mało-wiele. Darzył żart osobliwym podziwem za *rozmach wszierz* i znosił nawet rozrost *wzdłuż* przez miłość dla samej sztuki. Nużyły go domyślniki. Bardziej mu dogadzał Gargantua Rabelais'go[5] aniżeli *Zadig* Woltera[6], zaś ponad wszystko figle czynne o wiele jeszcze więcej, niż żarty słowne, przypadły mu do serca.

W czasach, do których opowieść niniejsza należy, wesołkowie zawodowi niezupełnie wyszli z obiegu na dworach. Niektóre z wielkich *potęg* kontynentu zachowywały jeszcze swych *śmieszków* — byli to nieszczęśliwcy w pstrokatych szatkach, strojni kołpakami z brzękadłami, którzy musieli zawsze mieć w pogotowiu trafne a wytworne słówka, aby ich dostarczyć na skinienie w zamian za ochłapy spadające ze stołu królewskiego.

Nasz król posiadał, ma się rozumieć, swego wesołka.

Niezaprzeczenie *czuł on* potrzebę czegoś w rodzaju szału — gwoli zapewne zrównoważenia ociężałej mądrości siedmiu rajców, którzy byli jego ministrami, że pomnę tu własną jego osobę.

Wszakże jego głupi Janek, jego wesolek zawodowy nie był tylko głupim Jankiem. Wartość jego miała potrójną doniosłość w oczach królewskich z powodu, iż był jednocześnie karłem i kulawcem. W onych czasach karły były na dworach tak samo w użyciu, jak głuptaskowie, i niejednemu monarsze spędzanie czasu wydawałoby się nazbyt utrudnione (czas na dworach jest rozciąglejszy niż gdzie indziej) — bez błazna, który by go do śmiechu pobudzał, i bez karła, który by śmiał się z tego śmiechu. Atoli właściwością wszystkich owych błaznów, jak to już zaznaczyłem, była — otyłość, okrągłość i ociężałość, toteż dla króla naszego niewyczerpanym źródłem dumy stało się posiadanie w osobie Hop-Froga — tak się nazywał wesolek — potrójnych skarbów w jednym zespole.

Sądzę, że imię Hop-Froga nie miało nic wspólnego z tym, którego mu na chrzcie udzielono, lecz było jednoznacznie nadane z ramienia siedmiu ministrów z powodu, iż nie potrafił kroczyć zwykłym trybem ludzkim. I rzeczywiście Hop-Frog mógł się jeno poruszać w zakresie czegoś, co można nazwać marszem z *przerywnikami* — coś pośredniego pomiędzy drygiem a skurczem — rodzaj truchtu, który dla króla był niewyczerpaną rozrywką i, ma się rozumieć, źródłem uciechy, gdyż mimo wydatnego kałduna i tykwiastego od przyrodzenia łba król w oczach całego dworu uchodził za niezwykłego pięknisia.

Wszakże, chociaż Hop-Frog wskutek krzywizny nóg z wielkim jeno trudem mógł kroczyć po ziemi lub wzdłuż posadzki, przedziwna krzepkość mięśni, którymi natura, jakby gwoli odszkodowania nieudolności dolnych części jego ciała, obdarzyła jego dłonie, pozwalała mu na niejednen pokaz podziwu godnej zręczności wobec takich przeszkód, jak drzewa, powrozy lub cokolwiek dostępnego pochwyceniu rąk. W chwili tych ćwiczeń miał raczej pozór wiewiórki lub kusej małpy aniżeli żaby.

Nie umiałbym powiedzieć na pewno, skąd Hop-Frog pochodził. Przybył bez wątpienia z jakiejś krainy barbarzyńskiej, o której istnieniu nie było nawet słychów — z krainy niezmiernie odległej od dworu naszego króla. Hop-Froga i pewną młodą dziewczkę, mniej nieco od niego karłowatą, lecz nadzwyczaj

kształtną i doskonałą tancerkę — pozbawił ognisk domowych w prowincjach ościennych i przesłał w darze królowi jeden z jego ulubionych zwycięskich wodzów. Nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach ścisła przyjaźń powstała pomiędzy obojgiem niewolników. I rzeczywiście — stali się wkrótce dozgonnymi przyjaciółmi. Hop-Frog pomimo usilnego oddania się sztuce błazeńskiej zgoła nie zdobył wziętości i przeto nie mógł Tripecie zbyt znacznych udzielać przysług, lecz ona dzięki swym urokom i niepokalanej piękności karlicy uzyskała powszechny podziw i tkliwą opiekę, posiadała tedy spore wpływy i nigdy — byle sposobność — nie omieszkała z nich korzystać na rzecz swego ukochanego Hop-Froga.

Z powodu, nie wiem już jakiej, ale bardzo doniosłej uroczystości król postanowił wyprawić bal maskowy, zaś ilekroć na dworze zdarzały się maskarady lub inne w tym rodzaju zabawy, tylekroć talentom Hop-Froga i Tripety dawano nieodzowne zastosowanie, Hop-Frog w szczególności był tak wynalazczy w dziedzinie zdobnictwa, tworzenia nowych larw^[7] i ubiorów maskaradowych, że zdawało się, iż bez jego udziału nic udać się nie może.

Nadeszła noc na zabawę przeznaczona. Pod okiem Tripety ozdobiono wspaniałą salę, nie szczędząc wszelkiej możliwej pomysłowości, aby przydać blasku maskaradzie. Cały dwór trwał w gorączkowym oczekiwaniu. W sprawie ubiorów i ról każdemu, jak łatwo zgadnąć, pozostawiono wybór wolny. Sporo osób na tydzień lub nawet na miesiąc z góry określiło rodzaj upatrzonego dla się przebrania i koniec końcem nikt się nie ociągał i nie namyślał zbytnio prócz króla i jego siedmiu ministrów. Czemuż się wahali? Nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie — chyba że był to jeszcze jeden naddatkowy fortel uknutej zabawy. Prawdopodobnie trudno im było pochwycić w lot swe pomysły, ile że byli tak wybitnymi otylcami! Tak czy owak — czas upływał i, uciekając się do ostatniego środka, posłali po Tripetę i Hop-Froga.

Dwaj mali druhowie, stawiając się na rozkaz króla, stwierdzili, iż ten ostatni po królewsku chłonie wino z pomocą siedmiu członków swej poufnej rady, mimo to monarcha zdawał się zdradzać brak humoru.

Wiadomo mu było, że Hop-Frog unika wina, gdyż ów trunek przyprawiał

biednego kulawca o stratę zmysłów, zaś strata zmysłów zgoła nie jest wesołym środkiem trafnego samopoczucia. Król jednak lubował się we własnych swoich wybrykach i powziął ucieszny zamiar zniewolenia Hop-Froga do wypitki, czyli, jak zwykł mawiać, do *zjednania wesołości*.

— Pójdź tu, Hop-Frog! — zawołał w chwili, gdy błazen wraz ze swoją towarzyszką wkroczył do komnaty — żłopnij no mi tę oto szklenicę za zdrowie nieobecnych przyjaciół waszych — (tu Hop-Frog westchnął) — i obsłuż nas swoją wyobraźnią! Brak nam typów — *charakterów*, mój chłopcze! Brak czegoś nowego — niezwykłego! Znużyła nas ta wieczna jednostajność. Nuże, pij! Wino rozżarzy twój geniusz.

Hop-Frog usiłował swoim zwyczajem dorzucić trafne słówko ku rozbrojeniu króla, lecz wysiłek był ponad możliwości. Był to właśnie dzień urodzin nieszczęsnego karła i rozkaz picia za zdrowie *nieobecnych jego przyjaciół* wycisnął mu łzy z oczu. Kilka sporych a gorzkich kropli skapnęło do kielicha, który pokornie przyjmował z rąk swego tyrana.

— Cha, cha, cha! — zaryczał ten ostatni, gdy karzeł z odrazą kielich opróżnił. — Widzisz, czemu podoła jedna lampka dobrego wińska? Juści — ślepie twoje już się żarzą!

Biedne chłopaczysko! Jego szerokie źrenice skrzyły się raczej, niż żarzyły, gdyż wino na ten pobudliwy umysł działało zarówno krzepko, jak niezwłocznie. Drżącą dłonią utwierdził kubek na stole i powiódł po obecnych wzrokiem niemal obłądnym.

Całe zgromadzenie zdawało się bawić na schwał pomyślnym wynikiem królewskiego *konceptu*.

— A teraz — do roboty! — rzekł pierwszy minister otylec niepomierny.

— Tak! — pochwycił król — Nuże, Hop-Frog, udziel nam twej pomocy! Typów, piękny chłopcze! Charakterów! Pożądamy *charakteru*! Pożądamy wszyscy!

Cha, cha, cha!

I ponieważ tkwiły w tych słowach poważne zabiegi dookoła kalamburu, tedy wszystkich siedmiu zawtórzyło^[8] chórem śmiechowi królewskiemu. Zaśmiał się też i Hop-Frog, lecz słabym i roztargnionym śmiechem.

— Prędziej, prędziej! — naglił król zniecierpliwiony. — Czyż na żaden pomysł nie wpadasz?

— Usiłuję wpaść na jakiś pomysł *niepowszedni* — wybąkał karzeł jak nieprzytomny, gdyż wino zgoła go obłąkało.

— Usiłujesz? — wrzasnął tyran drapieźnie. — Co rozumiesz pod tym słowem? A! pojmuje... Jegomość się dąsa, jegomość jeszcze wina się napiera! Masz, żłopnij to!

I król znowu kielich napełnił i — napełniony po brzegi podał kulawcowi, który spozierał i dychał jak zziajany.

— Pij, powtarzam! — gwałtował potwór. — Lub na szatana!...

Karzeł wahał się... Król spurpurowiał od wściekłości. Dworzanie uśmiechali się okrutnie. Tripeta trupio blada zbliżyła się do siedziska monarchy i, padwszy przed nim na kolana, jęła błagać, aby oszczędził jej przyjaciela.

Tyran przez chwil kilka mierzył ją wzrokiem, osłupiały zapewne na widok takiego rozzuchwalenia. Nie wiedział, zda się, co ma rzec i co uczynić ani też — jakich słów doborem nastarczyć swemu oburzeniu. Wreszcie, nie uroniwszy ani jednego słowa, z całą przemocą odepchnął ją precz od siebie bluznął jej w twarz zawartością pełnego po brzegi pucharu.

Biedna karlica z wysiłkiem powstała na nogi i, nie śmiejąc nawet westchnąć, powróciła na swe miejsce u podnóża stołu.

Przez pół minuty trwała cisza śmiertelna, wśród której posłyszałbyś spadanie

liścia lub pierza. Ciszę ową przerwał rodzaj głuchego, lecz rdzawego i długiego zgrzytu, który się zdawał wylęgać ze wszystkich naraz kątów pokoju.

— Dlaczego — dlaczego — dlaczego tak hałasujesz? — spytał król z rozszalałym gniewem zwracając się do karła.

Ten ostatni zdawał się poniekąd trzeźwieć i tępo, lecz ze spokojem patrząc twarz w twarz tyranowi, zawołał z prostotą:

— Ja? — Ja? — A skądże takie przypuszczenie?

— Zdaje mi się, iż dźwięk od zewnątrz dolata — zauważył jeden z dworzan — mam wrażenie, że to papuga w oknie ostrzy dziób o sztaby klatki.

— Masz słusność — odpowiedział monarcha z oznaką wielkiej ulgi wywołanej owym domysłem — wszakże, na mój honor rycerski przysięgłbym, że ów nędznik tak pozgrzytywał zębami.

Na te słowa karzeł jął się zaśmiewać (król był zbyt ślepym miłośnikiem żartów, aby pomiatał czyimkolwiek śmiechem) — i wyszczerzył szeroki, potężny i groźny sznur zębów. Co więcej — oświadczył, iż gotów jest wysączyć dowolną ilość wina. Udobruchał się monarcha, zaś Hop-Frog bez najmniejszego przymusu pochłonawszy jeszcze jedną szklenicę, zakrzętnął się natychmiast i z zapałem dokoła pomysłów maskaradowych.

— Nie mogę wytłumaczyć — zauważył bardzo przytomnie, jakby mu wino nigdy w głowie nie szumiało — jak się ów zbieg myśli odbywa, lecz *bezpośrednio po tym*, jak Wasza Królewska Mość zdzieliła pięścią karlicę i twarz jej winem oplwała — *bezpośrednio po tym*, jak Wasza Królewska Mość dokonała wspomnianego czynu, oraz w chwili, gdy papuga na dworze wytwarzała ów zgiełk osobliwy, przyszedł mi do głowy figiel przedziwny, który stanowi jedną ze zwyczajowych mego kraju zabaw, a z którego częstokroć korzystamy dla naszych maskarad, tu zaś będzie on bezwzględnie nowością. Niestety — figiel ów wymaga towarzystwa z ośmiu złożonych osób, więc...

— Tam do licha, jest nas ośmiu! — zawołał król, podkreślając śmiechem swój wytworny wynalazek. — Ośmiu — bez reszty! Ja — i siedmiu moich ministrów. Nuże, cóż to za figiel?

— Nazywamy to — rzekł kulawiec — *ósemką skutych orangutanów* — i jest to zaprawdę gra czarująca, o ile trafi na przednich wykonawców.

— My ją osobistym obdarzymy wykonaniem — odrzekł król prostując się i mrużąc oczy.

— Czar tej zabawy — ciągnął dalej Hop-Frog — polega na popłochu, który szerzy wśród niewiast.

— W to nam graj! — ryknęli chórem monarcha i jego ministerium.

— Nikt inny jeno ja przebiorę was za orangutany — mówił dalej karzeł — zaufajcie mi na ślepo we wszystkim. Podobieństwo będzie tak dokładne, iż wszystkie maski wezmą was za rdzenne bydlęta, i ma się rozumieć, zdradzą tyleż przerażenia, ile podziwu.

— O, to wprost porywające! — zawołał król — Hop-Frog, wykierujemy cię na ludzi!

— Kajdany mają na celu — wzmożenie rozgardiaszu swym szczękiem. Najlepiej w tym razie odpowiada wam pozór zgrai, która wymknęła się dłoniom swych pogromców. Wasza Królewska Mość nie może sobie wyobrazić owego zamętu, który ósemka skutych orangutanów, prawdziwych dla większości zgromadzenia zwierząt, wytworzy na balu maskowym swym pełnym dzikich poryków rozpędem poprzez tłumy zalotnie i zbyt kownie postrojonych mężczyzn i kobiet. Kontrast, który nie ma sobie równego.

— Niechże tak będzie! — rzekł król i rada — ponieważ było już późno — powstała pośpiesznie z swych miejsc, aby przystąpić do wykonania pomysłu Hop-Froga. Pomysł przeobrażenia tych wszystkich ludzi w orangutany był

wielce prosty, lecz aż nadto odpowiadał jego celom.

W czasach, o których mowa w niniejszej opowieści, rzadko widywano tego rodzaju zwierzęta w tych lub innych częściach cywilizowanego świata i ponieważ larwy, przez karła zmajstrowane, były pod dostatkiem drapieżne i bardziej niż pod dostatkiem wstrętne, tedy zdaniem wszystkich można było zaufać stopniowi podobieństwa.

Króla i jego ministrów wtłoczono najpierw w giezła i trykoty obciste. Potem — otynkowano ich smołą. W tym okresie kolejnych zabiegów ktoś z gromady poddał myśl opierzenia. Wszakże myśl tę bez ogródki odrzucił karzeł, który niezwłocznie i pogłądowo przekonał dostojną ósemkę, iż len o wiele wierniej naśladuje sierść takich jak orangutan zwierząt. Na tej więc zasadzie do pokostu smoły dodano gruby pokost Inu. Zaopatrzono się wówczas w gruby łańcuch. Po czym okolono nim biodra królewskie i pozbawiono *króla władzy*. Następnie przerzucono łańcuch na innego członka ósemki i również pozbawiono go władzy, po czym kolejno i w ten sam sposób obezwładniono resztę. Gdy ukończono ową z łańcuchem mitręgę, wszystkich ośmiu utworzyło koło, usuwając się nawzajem od siebie na możliwie sporą odległość i, dla dopełnienia pozorów, Hop-Frog pozostałą resztę łańcucha przeciągnął poprzez obwód koła w kształcie dwóch pod kątem prostym skrzyżowanych średnic — zgodnie z obyczajem, który po dziś dzień uprawiają w Borneo łowcy szympansov lub innego grubego zwierza.

Olbrzymia sala, gdzie bal się miał odbyć, była komnatą okrągłą, bardzo wysoką, a której promieni słonecznych udzielało jedno okno w suficie. Nocą (sala była wyłącznie na nocny przeznaczona użytek) oświetlano ją przytwierdzonym łańcuchami do środka ramy olbrzymim pajakiem^[9], który podnosił się lub opuszczał za pomocą zwykłych ciężarów. Te ostatnie, aby nie psuć wytwornej całości, znajdowały się poza sklepieniem, na dachu. Zdobnictwo sali pozostawiono dozorowi Tripety, która wszakże w kilku szczegółach uległa, zda się, milczącym nakazom swego druha-karła. Za jego to poradą dla obecnej uroczystości ściągnięto pajak ku górze. Nieunikniony w tak zagrzewnej atmosferze upływ wosku dotkliwie by uszkodził bogate stroje gości, którzy wobec przeludnienia sali nie mogliby ominąć jej środka, czyli podwładnej

pająkowi dziedziny. W rozmaitych częściach sali utwierdzono nowe kandelabry^[10] opodal tłumem zajętej przestrzeni i po jednej wonnym kadzidłem dymiącej pochodni przydano do prawicy każdej z owych kariatyd, które piętrzyły się popod murami, a których ogółem było pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt.

Ósemka orangutanów, posłuszna radzie Hop-Froga, cierpliwie odraczała swój występ na chwilę, gdy sala po brzegi wypełni się maskami, to znaczy — na godzinę północną. Nie zdążył wszakże zegar dokonać swych uderzeń, a już członkowie ósemki wpadli, a raczej wtoczyli się pokotem — niektórzy bowiem dzięki pętom łańcucha poupadali, wszyscy zaś zaznaczyli swe wejście potykaniem się o własne nogi. Wzruszenie masek było — niesłychane, i serce królewskie na ów widok rośło z radości. Zgodnie z przewidywaniem pokaźna ilość gości uwierzyła, iż te istoty o pyskach drapieźnych, jeśli nie są czystej krwi orangutanami, należą wszakże do określonego skądinąd rodzaju zwierząt prawdziwych. Niektóre niewiasty pomdlały z przerażenia, i gdyby król nie wzbronił zapobiegliwie wszelkiego oręża, i on, i jego zgraja przypląciłaby krwią własny figiel. Słowem — powstał gromadny natłok ku drzwiom. Król wszakże dał rozkaz, aby drzwi zamknięto natychmiast po jego wejściu, zaś klucze — zgodnie z poradą karła — oddano mu do rąk *własnych*.

Podczas gdy zgiełk doszedł do szczytu, a każda maska jeno o własnym przemyśliwała ocaleniu, ponieważ — koniec końcem — w tym popłochu i w tej ciżbie niebezpieczeństwo stało się rzeczywistością, ujrzano nagle, iż łańcuch, na którym wisiał pająk, a który zgoła wciągnięto, opuszcza się i opuszcza aż do chwili, gdy jego w hak zagięta kończyzna dosięgła trzech stóp odległości od ziemi.

W chwilę potem, król i jego siedmiu druhów, kłębem przebiegłszy salę we wszystkich kierunkach, znaleźli się wreszcie w jej środku i w bezpośredniej z łańcuchem styczności. Podczas, gdy tak właśnie trwali, karzeł, który nieustannie szedł za nimi w ślady, upominając, aby się strzegli zbyt rychłych wstrząsów ciałem, pochwycił ich łańcuch w miejscu skrzyżowania dwóch jego po średnicy przywiązanych części. Wówczas z błyskawiczną szybkością

umocował doń hak, na którym zazwyczaj wsiadł pająk, i w okamgnieniu, jakby niewidzialną siłą porwany, łańcuch wzbił się ku górze o tyle, że hak stał się niedosiężny i, ma się rozumieć, pociągnął za sobą cały zespół orangutanów — tkwiących — twarz w twarz — jeden naprzeciw drugiemu.

Tymczasem maski zaniechały poniekąd swego popłochu i, ponieważ jęły patrzeć na to wszystko jak na zręcznie uknuty figiel, wybuchły przeto gromkim śmiechem na widok zajętego przez małpy stanowiska.

— *Mnie* ich jeno powierzcie! — zawrzęsnał wówczas Hop-Frog, a jego głos przenikliwie górował nad zgietkiem. — *Mnie* ich jeno powierzcie! Zdaje mi się, że znam ich *osobiście*. Niech no ja tylko dobrze się im przyjrzę, a powiem wam natychmiast, co to za jedni!

Tedy, nogami i rękami kłusując po głowach ciżby, dosięgnął tym trybem muru, po czym, porwawszy pochodnię z rąk jednej z kariatyd, tym samym trybem powrócił na środek sali, z małpią zwinnością wskoczył na łeb królowi i wpełznął po łańcuchu na wysokość stóp kilku, nachylając pochodni dla zbadania zgrai orangutanów i wrzeszcząc nieustannie:

— Odgadnę wkrótce, co to za jedni!

I podczas gdy całe zgromadzenie, nie wyłączając małp, skręcało się od śmiechu, błazen zagwizdał przeraźliwie.

Natychmiast łańcuch uleciał ku górze na stóp mniej więcej trzydzieści, porywając za sobą przerażone orangutany, które wszczęły po drodze jakiś spór wzajemny, i udzielając im trwania w powietrznym zawieszeniu pomiędzy stropem a ramą. Hop-Frog, uczepony za łańcuch, wraz z nim pomknął w górę i, zachowując niezmiennie swoje względem ośmiu maszkar stanowisko, wciąż chylił ku nim pochodnię, jakby usiłując zgadnąć, co to za jedni być mogą?

Na widok owego wniebowzięcia wszyscy obecni tak osłupieli, że wynikłe stąd uroczyste milczenie trwało mniej więcej minutę. Przerwał je wszakże dźwięk głuchy, rodzaj zgrzytu rdzawego jako ów, który już raz zadrasnął uwagę króla i

jego rady, gdy ten pierwszy winem oblał twarz Tripety. Atoli warunki obecne zgoła nie nastroczały sposobności badaniom, skąd ów dźwięk pochodził.

Wydzierał się spomiędzy zębów karła, który zgrzytał swymi kłami, jakby je pragnął utrzcć na miał w spienionej paszczęce, i z obłądną wściekłością sztyletował skrzącymi ślepiami króla i jego siedmiu kompanów, których twarze były ku niemu zwrócone.

— A-a! — rzekł wreszcie rozwścieczony karzeł. — A-a! zaczynam się teraz domyślać, co to za jedni!

I pod pozorem dokładniejszego przyjrzenia się królowi zbliżył pochodnię do Inianego przyodziewku, który oblekając króla rozfalował się natychmiast w pokrowiec wzburzonego płomienia.

W przeciągu mniej niż pół minuty ósemka orangutanów płonęła już zapamiętałe wśród wrzasków ciżby, która gapiła z dołu zdjeta przerażeniem i niezdolna najmniejszej podać pomocy.

Po pewnym czasie ogień, wybuchając ze zwiększoną wściekłością, znaglił błazna do wdarcia się wyżej po łańcuchu, ponad kres, dla ognia dosiężny — i podczas gdy wykonywał tę czynność, tłum raz jeszcze znieruchomił w milczeniu.

Karzeł skorzystał ze sposobności i znów przemówił.

— Teraz — rzekł — widzę *wyraźnie*, jakiego pokroju są owe larwy. Widzę potężnego króla i jego siedmiu doradców poufałych — króla, który bez namysłu uderza dziewczynę bezbronną, i jego siedmiu doradców, którzy go do okrucieństw zagrzewają. Co do mnie — jestem po prostu błaznem Hop-Frogiem — *zaś to, co się stało, jest ostatnim moim figlem błazeńskim*

Dzięki niezmiernej zapalności przedzy konopnej i smoły, do której przylgnęła, dzieło pomsty dopełniło się pierwej, nim karzeł dokończył swej krótkiej

przemowy. Ósemka trupów kołysała się na łańcuchu — raczej miazga zwikłana, smrodliwa, żuźłowata i potworna. Kulawiec cisnął pochodnię w ową miazgę, dosięgnął bez wysiłku stropu i znikł poza rusztowaniem.

Mówią, że Tripeta, czatując na dachu owej sali, była swemu druhowi współniczką wykonania owej zemsty pożarnej i że oboje uciekli do swej ojczyzny, nigdy ich bowiem odtąd nie widziano.

Przypisy:

- [1] *Hop-Frog* (ang.) — Żabi Skok.
- [2] *krotochwilny* (przestarz.) — żartobliwy, śmieszny, zabawny; tu pojawia się też w przestarz. pisowni: krotofilny.
- [3] *Wszyscy byli ukształtowani (...) zaprawność* — w oryginale: *They all took after the king, too, in being large, corpulent, oily men, as well as inimitable jokers*, co należałoby tłumaczyć: „Wszyscy byli ukształtowani wedle królewskiego pierwowzoru pod względem wielkiej tuszy, dostatniego otłuszczenia i nieporównanej do błazeństwa zaprawności”.
- [4] *Rara avis in terris* (łac.) — rzadki ptak na ziemiach.
- [5] *Gargantua Rabelais’go* — chodzi o olbrzyma, bohatera pięcioczęściowej satyryczno-groteskowej powieści François Rabelais’go (1493?-1553) *Gargantua i Pantagruel*, epatującej sprośnością i obrzydliwościami.
- [6] *Woltera* — powiastka filoz. *Zadig czyli Los. Powieść wschodnia* z 1748 r. autorstwa fr. filozofa oświeceniowego Voltaire’a; imię tytułowego bohatera znaczy z ar. „prawdomówny”, a z hebr. „sprawiedliwy” (por. cadyk); przeżywając różne przygody udowadnia on, że jest uosobieniem tych właśnie cech.
- [7] *larwa* (przestarz.) — maska.
- [8] *zawtórzyło* — dziś popr. zawtórowało.
- [9] *pająk* — pot. nazwa dużego żyrandola zwieszającego się z sufitu, posiadającego wiele ramion; dawniej umieszczano na nim jako źródło światła świece, obecnie najczęściej żarówki.
- [10] *kandelabr* — duży, ozdobny, wieloramienny świecznik stojący.